

Z ZOFIĄ KUCÓWNĄ



Czas
przybliża,
czas
oddala...

Czy magiczna granica wieków, rok 2000, ma dla pani znaczenie wyjątkowe?

– Praktycznie nie, ale żeby nie było nudno, buduję sobie psychiczną cezurę, która będzie miała pewne znaczenie. Otóż w roku 2000 wyjdzie spod mojej opieki rocznik studentów, który na własny użytek nazywam „morową trzynastką”. Sześć dziewcząt i siedmiu chłopców. Czy byli szczęśliwą trzynastką, okaże się, kiedy pójdą w świat i zaczną zdawać egzamin ze sztuki życia. „Morowi” byli, i czasem od tego bolała mnie głowa. Mimo to bywałam dzięki nim szczęśliwa. Wypełniali mi życie nieustannym o nich myśleniem.

Słyszałam, że jest pani surowym pedagogiem.

– W tym samym stopniu, co moi pedagodzy w stosunku do mnie. Dziś najbardziej szanuję pamięć tych, którzy byli bezwzględni w pracy.

Jacy są ci młodzi ludzie, których otacza pani opieką?

– Są przekonani, że wszystko wiedzą i wszystko potrafią. Wątpliwości przychodzą później. Przekazuję im teatr, który umiem, którego nauczyłam się w krakowskiej szkole i modyfikowałam przez lata pracy na scenie. Co z tym zrobić – ich sprawa. Oni też muszą modyfikować, aby nie wypaść ze swego czasu. Jaki będzie ich czas, trudno przewidzieć, ponieważ w sztuce nie ma postępu, są tylko zmiany, czasem bardzo gwałtowne. Wszystko podlega kaprysom mody. Co mnie najbardziej w młodych ciekawi? Powiem za Nałkowską: „Są uroczy, młodzi, tajemniczy tą swoją przyszłością, której nie poznam”. Właśnie ta zagadka dziś nie do rozwiązania.

Fot. Zofia Nesterowska



→ **Maria Kuncewiczowa** napisała z właściwą sobie smutną ironią: „Uważam, że człowiekowi łatwiej porozumieć się z mrówką czy krokodylem niż z drugim człowiekiem. Bo na zasadzie pewnych doświadczeń biologicznych, historycznych wiemy, czego spodziewać się po mrówce czy krokodylu. A czego spodziewać się po drugim człowieku?”. W pani książkach to pytanie również pada, choć nie wprost.

– Znowu panu powiem słowami Nałkowskiej: „Między człowiekiem a człowiekiem jest ciemność”. Bo na czym polega samotność?... W istocie każdy jest sam. Rzecz nie polega na wspólnym mieszkaniu, wspólnie wykonywanych czynnościach czy budowaniu wspólnej egzystencji – rzecz jest w wymianie myśli, w odkrywaniu się z marzeń, pragnień, tych dobrych i tych złych. W odwadze „podjęcia się” drugiego człowieka i oddaniu mu się wzajemnym, bezwarunkowym. A to jest niemożliwe. Jest jakaś granica, której nikt nie chce lub nie umie przekroczyć. Jakiś instykt chroniący ego.

Po przeczytaniu pani książek: „Zatrzymać czas” i „Zdarzenia potoczne”, można odnieść wrażenie, że zawsze była pani „sama”, nawet otoczona rodziną i przyjaciółmi...

– Moje ucieczki w samotność były też naturalną potrzebą porządkowania się wewnętrznego, abym mogła harmonijnie nawiązać kontakt z siłami innych ludzi. Od dziecka chodziłam własnymi ścieżkami wyobraźni i emocji. Ale decyzji podejmować sama nie umiałam. Potrzebowałam rozmowy, podczas której mogłam, głośno myśląc, zdecydować, że „tylko tak”. Nie zawsze otrzymywałam to od rodziny czy później od mężczyzn, z którymi byłam, często więc wychodziłam na zewnątrz...

Mówiła pani wielokrotnie, że „osobą bliską duchowo” była dla pani Maria Kuncewiczowa. Na czym właściwie polegała ta bliskość?

– Lubiliśmy się. Bunty, które ona przeżywała, były mi szalenie bliskie. Z matką nie miałam takiego kontaktu. W ustach mamy wiele razy pojawiały się słowa: „wypada”, „nie wypada”. Pani Maria starała się zrozumieć i akceptowała – nigdy mnie nie zawstydziła. Bliska mi też była jej niezgoda na przemijanie, na śmierć, na cierpienie. Różnił nas tylko temperament. U mnie żywiołowy, impetyczny. U niej powściągliwy i zdyscyplinowany.

Pani mieszkanie, wypielęgnowane i zadbane, pełne jest pięknych drobiazgów. Przywiązuje się pani do przedmiotów?

– Cieszy mnie dom. A martwa natura wcale nie jest martwa. Przedmioty, które się tutaj znajdują, mają swój rodowód, uczestniczyły w jakimś



Cieszy mnie dom, a martwa natura wcale nie jest martwa. Przedmioty, które się tutaj znajdują, mają swój rodowód, zawarte są w nich jakieś przeżycia i wspomnienia.

zdarzeniu, zawarte są w nich jakieś przeżycia i wspomnienia. Mam trochę fotografii i drobiazgów z domu mego dzieciństwa. Są przypomnieniem tego, czym był dla mnie dom rodzinny i kim wtedy byłam...

A kim pani wtedy była?

– Miałam bardzo bezpieczne dzieciństwo, nie bogate i nie nazbyt ubogie. Dom moich rodziców był domem prawdziwym – dziadek, babcia, pies, koty, grządki z kwiatami i wynikający z tradycji porządek rzeczy. W domu nazywano mnie „chałupiarą”, bo lubiłam wałęsać się po cudzych domach, jakby mój własny nie wystarczał. Zaczęłam też uciekać do świata tworzonych przez własną wyobraźnię. Bywałam mitomanką lub kłamczuchą, jak kto woli. Układałam jakieś niestworzone historie. Nie było mi z tym źle... Dopiero w krakowskim Liceum Plastycznym tak naprawdę stało się coś ważnego. Otworzono przede mną świat sztuki. Doznałam olśnienia. Zaczęły budzić się

zmysły i intelekt. Obudziłam się też jako dziewczyna. Najważniejsze moje lata.

A lata późniejsze, kiedy była już pani aktorką sławną i docenioną, nie są najważniejsze?

– Nie, najważniejszy był ten czas w Liceum Plastycznym. Przede wszystkim pogodzone mnie z sobą. Przestałam być mitomanką. To, co wymyślałam, nazywano kreacją, grą wyobraźni, fantazją, wyczuciem formy. Przewartościowano moje dotychczasowe myślenie. Dano mi wiano na całe życie.

Pamięta pani atmosferę swojego pierwszego sukcesu?

– W pierwszej klasie szkoły powszechnej za literkę „B”, którą trzeba było wypełnić jedną stroną zeszytu, dostałam ocenę bardzo dobrą. Aż spuchłam z dumy. Pierwszego „dorosłego” sukcesu nie pamiętam. Było ich dużo. Klęski też były, ale mniej. Pamiętam je bardziej, bo bolały.

Czy teatr wciąż jest najważniejszy w pani życiu?

– Nie, już nie. Nic już nie jest najważniejsze poza zdrowiem i potrzebą godzenia się z tym, co niesie współczesny świat. Ważna jest wewnętrzna harmonia, bez której nie ma poczucia bezpieczeństwa, dziś tak bardzo niszczonego.

Wiele kobiet przyznaje, że nieuchronność zmian fizycznych i psy-



w Makbecie

Fot. Bernard Leonard Dudley

chicznych, jakie niesie upływ czasu, działa na nie przygnębiająco. Dla pisarki upływający czas może być źródłem twórczości, bywa więc w pewnym sensie łaskawy. **A dla aktorki?**

– Zawód, który dawał mi kiedyś radosne uniesienia, zamienił się w rutynową pracę. Nie jestem już niezastąpiona. Mówię to z pozycji kobiety, która ma za sobą drogę zawodową. Nie czekam na propozycje. Od czasu do czasu się zdarzają. Przyjmuję te, którym mogę podolać, wliczając oczywiście ryzyko, bo w tym zawodzie nigdy nic nie wiadomo.

nie. Fasolkę szparagową też. Hanka Krall powiedziała mi, że najbardziej jej się podobało w „Zdarzeniach potocznych” wykreowanie fasolki szparagowej, zielonej, do rangi symbolu trwania świata. Śmieje się pan... I jeszcze jedno panu powiem, o czym wiedzą moi przyjaciele: umiem się zachwycić człowiekiem lub zdarzeniem. Zakochać się. Nieprzytomnie. Potrafię też cierpieć. Ale za nic na świecie nie oddam tych swoich olśnień.

Lubi pani określenie „literatura kobieca”?

– Czytam książki pisane przez mężczyzn i kobiety z równym zainteresowaniem. Kobiety są bardziej wrażliwe i zmysłowe, mężczyźni syntetyczni i szerszej patrzą.

Czym dla pani jest kobiecość?

– Z pojęciem kobiecości wiąże wdzięk, ufność, ciepły uśmiech, pogodę ducha, szczyptę seksapilu. Prócz posługiwania się Internetem i znajomością pracy silnika samochodowego – umiejętność robienia szydełkiem, wyhaftowania inicjału, przyszycia guzików. Czyli obok nadążania za nowoczesnością – dbałość dla form życia kobiecego, związanego z tradycją.

Podobno jest pani osobą walczącą i feministką. Prawdziwa jest ta opinia?

– Walczyłam o siebie, kiedy byłam młodsza. Nie znosiłam pewnych norm narzuconych mi przez dom i mężczyzn. Oczekiwałam tych samych przywilejów, które usurpują sobie mężczyźni – nie tylko obowiązków i powinności, jakie tradycja narzucała kobietom. Przegrywałam, oczywiście, i poddawałam się, ale cierpiałam. Szarpanina. Z jednej strony pragnienie wolności, z drugiej – poczucie obowiązku wobec drugiego człowieka. Dziś uważam siebie, powiem nieskromnie, za świetną kobietę, zachowującą w swej niezależności takt i dyskrecję, unikającą prowokacji. Znam swoją wartość, choć jej nie przeceniam. Należę do kobiet rozsądnie wyemancypowanych... Wady? Mogę się przyznać jedynie do tej, którą w części opanowałam. Impetyczność. Bywałam nieopanowanym raptusem. Awanturująca się starsza pani to nie najładniejszy widok. No i sił już brak. Może to miało kiedyś jakiś wdzięk, chociaż wątpię. Od dobrych kilku lat zaczęłam siebie wychowywać na pogodną, miłą starszuskę. Bo takie kobiety się lubi.

Agnieszka Osiecka napisała o pani: „Cały

obszar w życiu Kucówny to jej wspominki – opowiadania o dworkach, konfiturach, spichlerzach i brzoźach”. Jak czuje się pani w tym naszym zmechanizowanym końcu wieku bez „maminych konfitur”?

– Całkiem przyjemnie. Kupuję w sklepie niskosłodzone dżemy, więc nie ma problemu. Mam natomiast problem z Agnieszką. Ona wtedy nie akceptowała mojej świadomości ostrożnej postawy wobec życia, spowodowanej kryzysem, jaki wówczas przeżywałam. Nie lubiłam jej manifestacyjnej wybujałości. Dawałyśmy to sobie do zrozumienia. Na parę miesięcy przed jej śmiercią doszło między nami do rozmowy, podczas Festiwalu Piosenki we Wrocławiu. Sprawiała wrażenie osoby chcącej zbliżenia i nawet wyznaczyłyśmy sobie jakiś termin. Ale ja nie byłam już jej ciekawa, mimo jej heroicznej walki z chorobą, budzącą mój smutek. Kochałam Agnieszkę ze złotym warkoczem. Unikałam Agnieszki z warkoczem siwym. Nie ufałam jej kapryśnej przyjaźni. Cieszę się jednak, że to małe „coś” wróciło, zawisło nad nami, zajaśniało wzajemną czułością. Często myślę o niej. Śmierć Agnieszki była końcem pewnej epoki – końcem „czegoś” przypisanego naszemu pokoleniu. Z nią umarło to „coś” i we mnie. I z Janką Garycką, i z Piotrkim Skrzyneckim, i z wieloma innymi urodzonymi w „drugiej połowie pierwszej połowy XX wieku”, zmarłymi przed jego zakończeniem.

A może warto, choć na chwilę, zatrzymać czas?

– Nie chciałabym niczego, co przeszło, powtórzyć. Za nic w świecie! Możemy sobie jedynie wspominać. Czas przybliża, czas oddala...

Rozmawiał PIOTR GACEK

*Nie jestem już niezastąpiona.
Mówię to z pozycji kobiety, która
ma za sobą drogę zawodową.
Nie czekam na propozycje.*

Obie pani książki: „Zatrzymać czas” (siedem wydań, nagroda „Książka Roku 1991”) i „Zdarzenia potoczne” – stały się bestsellerami. Niedawno ukazała się trzecia – „Opowieści moje”. Coraz częściej artyści piszą zwierzenia. Mimo hałaśliwej promocji i chwytliwych tytułów ten typ literatury ma u nas jednak umiarkowane powodzenie. Tym większy pani sukces. Zdradzi pani, jak zauroczył czytelnika?

– Nie wiem, naprawdę. Sądzę, że dobrze jest być szczerym, nie udawać i nie naśladować. Albo to chywyta, albo nie. Albo ludzie się z tym identyfikują... Wie pan, ja piszę, bo lubię. Jest we mnie pewien rodzaj kojarzenia bardzo przydatny w opisywaniu życia. Mam świadomość, że potrafię wykreować jakieś mało ważne zdarze-



Fot. Jerzy Linder